SZWEDZI NA CZĘSTOCHOWĘ WALĄ

„...Biła godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią, zamajaczyło coś i poczęło się ruszać...

Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zamarła cisza jakoby serca i języki zdrętwiały, dzwony tylko biły dalej...”

Na przedpolach klasztoru rozbito szwedzkie obozowisko. Łopocą chorągwie nad namiotem generała Millera. W pierwszej linii na szańcu stoją kanionierki — małe działka, nieco w głębi działa wielkie, zwane „Apostołami”. Tu i ówdzie palą się ogniska, przy których gromadzą się zziębnięci „Szwedzi”. A mróz był siarczysty, gdy dotarłam do Częstochowy, aby na własne oczy zobaczyć filmowy „najazd szwedzkich wojsk” na Jasną Górę. Było ich mrowie. Rajtarzy w pelerynach i kapeluszach o szerokich rondach, działowi w butach po kolana i żelaznych pancerzach, piechota w błyszczących hełmach.

Na wzgórzu stoi reżyser J. Hoffman i wydaje rozkazy:

C. d. na str. 4—5

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 8 (2104) 28 stycznia 1972 r. Cena 50 gr

Będziemy zawsze o nich pamiętać

NIEDAWNO w naszej drużynie odbyła się uroczysta wieczornica z okazji XXX rocznicy powstania PPR. Do obchodów jubileuszu przygotowywaliśmy się już od grudnia. Uczniowie i harcerze z najstarszych klas nawiązali kontakt z ludźmi, którzy w okresie wojny działali w szeregach PPR. Poznaliśmy Ob. Romaniuka, który opowiadał o walce członków PPR oraz Mikołaja Kozłowskiego, byłego członka KPP, później PPR, a obecnie sekretarza POP w Brzeźnie k. Chełma.

W uroczystości wzięli udział nauczyciele, uczniowie i harcerze.

Goście opowiadali o walce członków PPR z najeźdźcą, o życiu M. Nowotki, M. Fornalskiej, Hance Sawickiej i Janku Krasickim. Minutą ciszy uczciliśmy pamięć tragicznie poległych bohaterów. (rj)

Uczniowie Szk. Podst. z Brzeźną k. Chełma

W procesie „Ontario Science Centre” — Ośrodek Wiedzy w Ontario — czytam: „Wkrótce będziesz się cieszył najbardziej fantastycznymi rzeczami na ziemi. Dotykaj ich, mów do nich, śmiej się, fotografuj... Wejdź i baw się”.

Olbrzymi szary betonowy hall, odciśnięte na ścianach słoje desek zastępują tynki. Pokazanie „żywego” betonu jest charakterystyczne dla nowoczesnego budownictwa Kanady. W hallu pełno wycieczek szkolnych, dzieci wszystkich ras. W wejściu wita mnie uśmiechem piękna dziewczyna pełniąca rolę informatorki. Nazywa się Janet Rodrigues i jest pochodzenia hinduskiego (na zdjęciu obok).

Ale zostawmy dziewczynę w spokoju, przyszliśmy tu przecież oglądać eksponaty.

C. d. na str. 3

Tak wygląda znaczek muzeum.

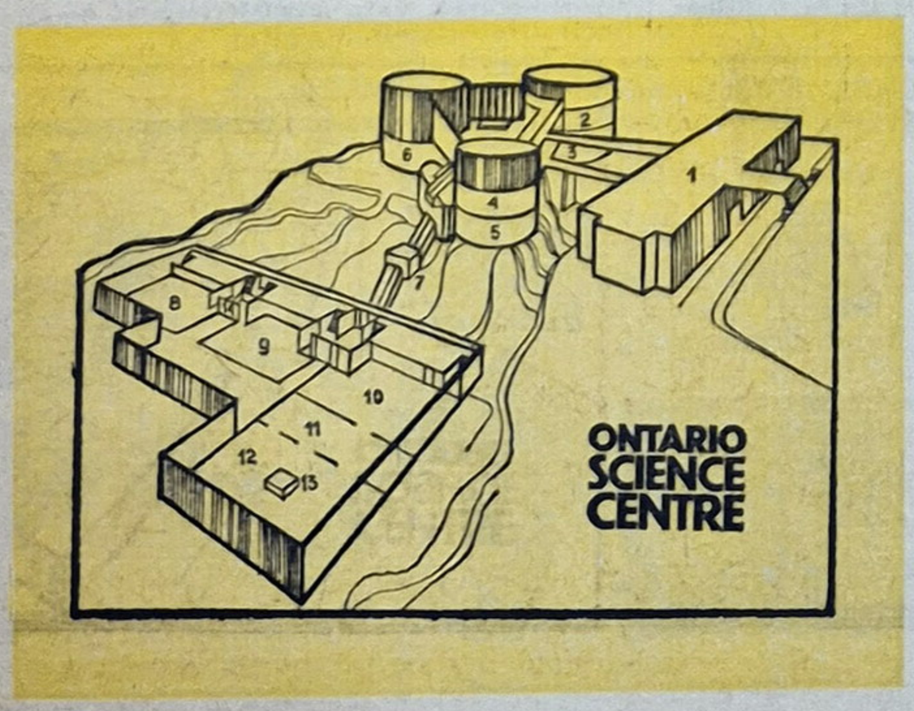

REPORTAŻ Z KANADY

MUZEUM KTÓRE BAWIĄC UCZY

Na rysunku widzicie plan muzeum. W budynku nr 1 znajduje się recepcja, kasy, szatnie, toalety, restauracja, kawiarnia. 2. Audytorium. 3. Atomistyka i laser. 4. Biblioteka i teatr na 500 miejsc. 5. Ziemia i meteorologia. 6. Kosmos. 7. Schody ruchome. 8. Biologia. 9. Komunikacja. 10. Budownictwo. 11. Transport. 12. Sala zabaw z fizyki. 13. 14. Bufety-bary.

ZNAKI

KIEDY człowiek pierwotny malował niezdarnie na ścianie swej jaskini wizerunek niedźwiedzia, brał tym samym zwierzę w swą moc. W ten sposób, zakląwszy prawdziwy, groźny i żywy kształt w jego rysunkowe wyobrażenie — zyskiwał nad nim przewagę i równocześnie informował o tym swoich współplemieńców.

Tak powstały pierwsze znaki — symbole czegoś istniejącego w rzeczywistości. Bardzo długo miały one znaczenie magiczne, a ze swej magii i tajemniczości wyzwalały się wraz z rozwojem społeczeństw. Tajne znaki kabalistów czy święte pismo hieroglificzne — przekształciły się ostatecznie w nasze poczciwe znaki drogowe, turystyczne, symbole jakości towarów, firm...

Jesteśmy otoczeni tymi znakami na co dzień i stale mamy z nimi do czynienia. Oto na filmie z dzikiego zachodu widzimy jak właściciel stada krów wypala im swój znak na futrze. W muzeum oglądamy stare rycerskie tarcze herbowe, a po wyjściu kupujemy w kiosku miniaturkę herbu miasta. W klasie na ścianie widzimy symbol naszego kraju — białego orła. Otwieramy pierwszą lepszą książkę i napotykamy znak wydawnictwa.

Na każdym kroku znaki informują nas o czymś, przypominają coś, ostrzegają przed czymś. Jest ich coraz więcej, coraz bardziej zróżnicowanych. Jest to zjawisko niepokojące: to co niegdyś miało przekazywać w skrócie, w sposób uniwersalny pewne treści — staje się niekiedy barierą dzielącą ludzi na wyizolowane od siebie grupy.

Podejmowane ostatnio próby ogólnoświatowego ujednolicenia pewnych zespołów znaków (np. symbole informujące o usługach na dworcach lotniczych, kolejowych i morskich) rokują pewne nadzieje, iż większa część znaków stanie się naprawdę zrozumiała dla ludzi niezależnie od języka, jakim mówią.

MAPY I PLANY

DAWNE MAPY przeznaczone były raczej do oglądania niż czytania. Przedstawiały rzeczywistość nieraz zupełnie zmyśloną. Niewiele na nich widnieje symboli i umownych znaków, ale za to prawie wszystko, co namalowano wygląda jak żywe: na polach pasą się stada owiec, po morzach pływają wspaniałe żaglowce, w realistycznie namalowanych lasach buszują dzikie zwierzęta.

Dzisiejsze mapy zatraciły zupełnie ten malowniczy charakter. Legenda umieszczona przy każdej mapie poucza więc sucho posługujących się nią, iż np.: skrzyżowane szable oznaczają pobojowisko, niebieskie kreski obok siebie — bagno, kółeczka z dużą czarną kropką w środku — miasta od 100.000 do 250.000 mieszkańców itp. Znów cała masa umownych znaków, które trzeba poznać, aby łatwiej móc poruszać się nie tylko po całym świecie, ale i najbliższej okolicy.

— Gdybyż tak jeszcze dało się usunąć z map napisy zastępując je czymś innym... — wzdychają entuzjaści absolutnego ujednolicenia kartografii. Niestety. Jak dotąd nie wymyślono jeszcze nic równie doskonałego jak litera, która przecież jest też znakiem, tyle że symbolizującym pewne dźwięki...

SCHEMATY, NUTY, CYFRY

SCHEMATY są to rysunki na ogół zupełnie pozbawione tekstu, a przedstawiające połączenia elektryczne czy mechaniczne różnych urządzeń. Czytanie schematów, np. skomplikowanych urządzeń elektronicznych jest dość trudne, a na laikach sprawia niejednokrotnie wrażenie czegoś graniczącego nieomal z nadprzyrodzonymi umiejętnościami.

Oto jest właśnie przykład zespołu znaków umownych łączących bardzo wąską grupę specjalistów. Podobnie ma się rzecz z nutami. Czarne znaczki, tak podobne do siebie, umieszczone w różnych miejscach pięciolinii, po zamienieniu na dźwięki dostarczają nam niezapomnianych wzruszeń. Ale aby je odczytać z zapisu nutowego, trzeba znowu należeć do wtajemniczonych.

Litery i cyfry to chyba najbardziej popularne znaki. Do dzisiejszego dnia istnieje wiele różnych alfabetów i systemów znaków cyfrowych. Być może, kiedyś w przyszłości uda się opracować jeden alfabet i jeden zapis cyfrowy dla całego świata. Gdyby tak się stało można by w szerszym niż dotąd stopniu wymieniać doświadczenia i dzielić się osiągnięciami wypracowanymi przez poszczególne kraje.

ZNAKI FIRMOWE

● Specjaliści powiadają, iż dobrze zaprojektowany znak firmowy powinien błyskawicznie trafić do oka widza i na długo utrwalić się w jego pamięci. Ma to kolosalne znaczenie jeśli chodzi np. o znaki firmowe wytwórni różnych towarów. Niektóre z tych znaków zdobyły sobie dużą popularność w kraju (np. guma „Myszka") czy nawet za granicą (np. „E. Wedel"). A to wpływa przecież na zyski firmy. Zdarza się też, że od znaku firmowego bierze nazwę sam towar. Przykładem na to mogą być popularne niegdyś „kogutki". Tak nazywano... proszki od bólu głowy, ponieważ symbolem ich był właśnie kogut.

Znaków firmowych jest coraz więcej. I dlatego coraz trudniej jest korzystać z informacji, którą one niosą.

SYMBOLE

● Jest pewna cecha znaków, na którą warto szczególnie zwrócić uwagę. Owa cecha, może jedna z najważniejszych, zawsze niesłychanie fascynowała ludzi, którzy nadal poddają się jej urokowi.

Oto kilka prostych wizerunków: ŻÓŁW, LEW, MOTYL, KOTWICA... Każdy z tych znaków, oprócz tego, że przedstawia zwierzę czy przedmiot posiada jeszcze pewne znaczenie symboliczne. Żółw jest symbolem ospałości, powolności. Motyl — delikatności, beztroski. Lew — siły królewskiej. Kotwica — nadziei. Bardzo często projektanci różnych znaków informacyjnych opierają się na tych znaczeniach symbolicznych, dużo łatwiej trafiając do świadomości odbiorców.

KOLUMNĘ OPRACOWAŁ: JERZY DĄBROWSKI

C. d. ze str. 1

Idę długim betonowym korytarzem, wyłożonym niebieskim dywanem. Przez oszkloną ścianę widok na zalesiony wąwóz. Mijam sklepik, w którym można kupić książki naukowe, zestawy plastykowe do składania szkieletu człowieka, ucha, serca, jak również można złożyć z części żabę.

Oglądam makietę muzeum, 400 eksponatów, 8 km korytarzy do przejścia, ustalam plan zwiedzania.

Ruchomymi schodami zjeżdżam na niższe poziomy. Przez okna widzę skaczące ptaszki licznie zamieszkujące teren muzeum. Te same ptaszki z danymi „personalnymi" oglądam na szybach w postaci przezroczystych nalepek.

Czerwone strzałki na planach wskazują, w jakim miejscu muzeum się znajduję, dokąd skierować mam swoje kroki. To muzeum ma inny charakter niż nasze muzea. Nie ma zbioru starych przedmiotów, a jeżeli są, to tylko po to, aby w zestawieniu z najnowszymi wynalazkami pokazać postęp techniczny. Przychodzą tu uczniowie całymi klasami, aby uczyć się na miejscu fizyki, chemii i innych przedmiotów. Wszędzie szum, hałas. Modele są w ciągłym ruchu, tam leje się woda do miniaturowej hydroelektrowni, przeskakują iskry. Słyszę huk przelatującego odrzutowca i sapanie starej lokomotywy. Nie ma przewodników. Za naciśnięciem guzika płyną ze stereofonicznych głośników objaśnienia z odpowiednimi efektami akustycznymi. Wesoły sygnał pozytywki zaprasza na pokaz krótkiego filmu o narodzinach i rozwoju samochodu.

*

Zbliżam się do dwóch oszklonych pokoi. W pierwszym pracuje robotnik na drewnianej tokarce o nożnym napędzie, w drugim nowoczesna tokarka zaprogramowana przez komputer pracuje sama. Obok automatyczna wiertarka bez obsługi wierci w blaszkach otworki, układające się w pamiątkowy napis z muzeum.

*

Nigdy w życiu nie kierowałem wewnętrznym transportem w fabryce. Teraz mam okazję. Przede mną zestaw transporterów, taśmociągów i dźwigów. Stoję przed pulpitem sterowniczym. Naciskam guzik, uruchamiam taśmociągi, po których przesuwają się pojemniki. Manipulując guzikami mogę sterować ruchem pojemników, kierować je na dowolne stanowisko robocze.

*

Czy otwieraliście kiedyś kasę pancerną? Przede mną prawdziwe kasy pancerne. Na drzwiach cztery guziczki. Naciskam jeden, drugi, trzeci.... Przy pewnym układzie naciśniętych przycisków drzwi kasy otwierają się. Trzeba mieć dużo cierpliwości, aby trafić na szyfr. Po 10 minutach ma-

nipulacji zrezygnowałem. Nie nadaję się na włamywacza.

*

W jednej z sal muzealnych wśród eksponatów otoczona parkanikiem znajduje się kawiarnia. Kiedy jesteś zmęczony zwiedzaniem, możesz tu chwilę odpocząć, zjeść kanapkę, wypić sok, mleko. Kupuję ciastko drożdżowe i szklankę cocacoli. Płacę 35 centów.

Jem szybko, bo kusi mnie pograć na instrumentach muzycznych, znajdujących się tuż obok kawiarni w kabinach — izolatkach. Przechodzę z kabiny do kabiny i „gram" na azjatyckich gongach, cymbałach, organach, fortepianie z plastykową przezroczystą obudową. W jednej z kabin sterczą olbrzymie uszy tekturowe, a pod nimi pręty metalowe. Uderzam w pręty i uzyskuję niezwykłe dźwięki. Przy okazji uczę się o zasadach rozchodzenia się fal głosowych. W innej kabinie na pulpicie szereg pokręteł jak w radiu, każda pokrętka zawiaduje innym dźwiękiem. Jest to urządzenie do tworzenia muzyki elektronicznej. Mieszam dźwięki, tony wysokie, niskie, ale trudno to nazwać muzyką.

*

Wzdłuż ściany stanowiska prądnic o napędzie rowerowym. Siadam na jednym z nich i pedałuję co sił. Prądnice połączone są z magnetofonem lub telewizorem. Im szybciej pedałuję, tym wyraźniejsza muzyka i lepszy obraz na ekranie telewizora.

*

Na wysokim podium potężne urządzenia elektryczne. Demonstratorka

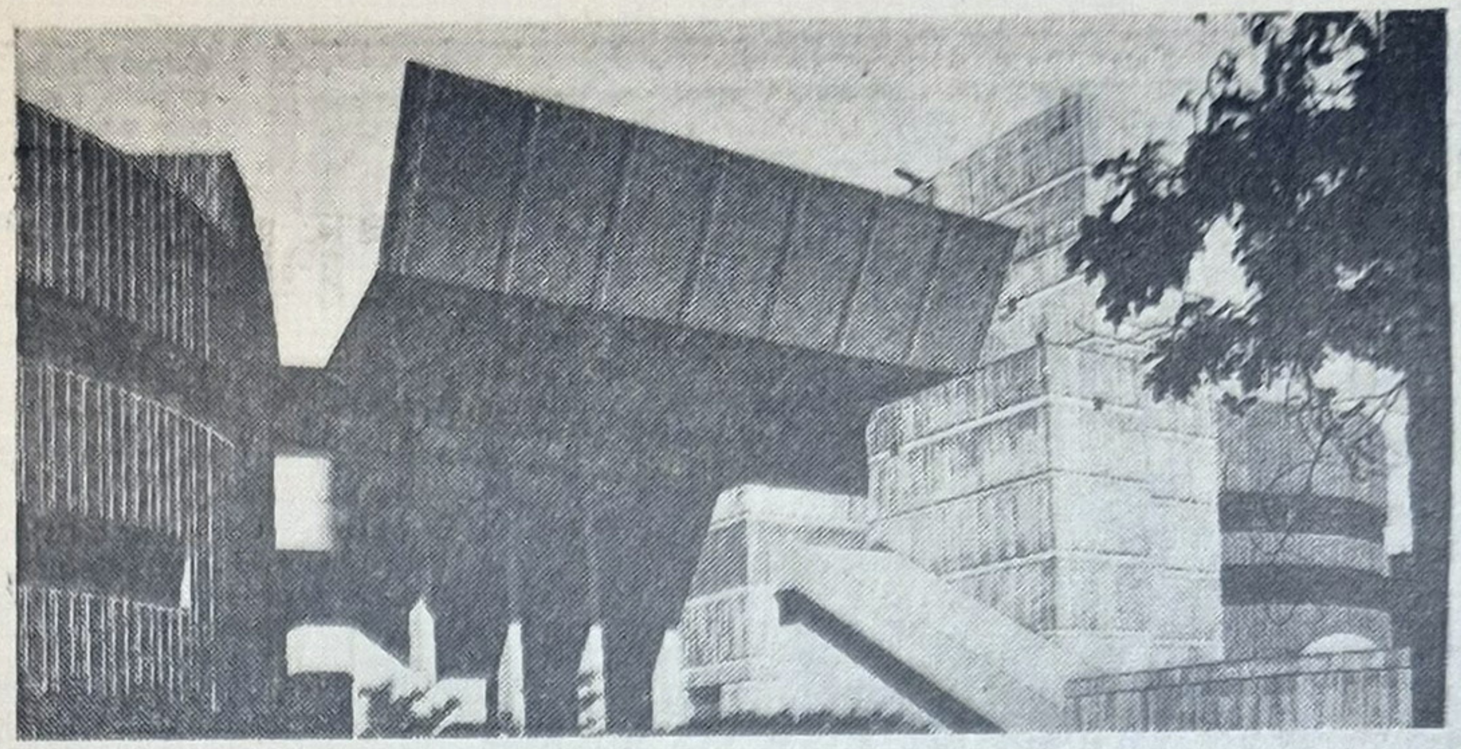

Oto fragment budynku muzeum wiedzy w Toronto.

MUZEUM KTÓRE BAWIĄC UCZY

REPORTAŻ Z KANADY

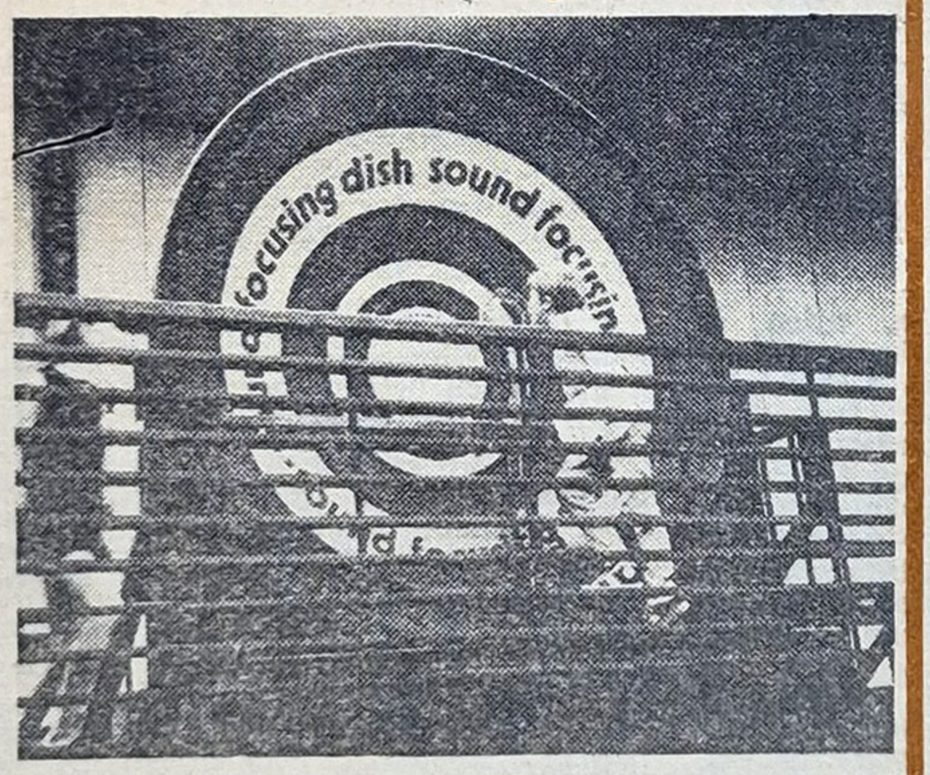

Na zdjęciu tarcza nadawczo-odbiorcza do przekazywania głosów na odległość.

zaprasza do wzięcia udziału w eksperymencie. Nie ma odważnych. Ryzykuję. Pani ustawia mnie na plastykowej podstawie i każe oprzeć się ręką na wielkiej metalowej kuli o średnicy ok. 1/2 m. Mniejszą kulą umieszczoną na patyku wodzi mi po głowie. Włosy stają dęba i sypią iskry jak pioruny. Publiczność śmieje się. Ja jednak mam wrażenie, że włosy stanęły mi dęba nie na skutek naelektryzowania, ale ze strachu.

*

W następnej sali około 40 m długiej znajdują się eksponaty związane z łącznością. Na obu krańcach sali, na podwyższeniu ustawiono olbrzymie tarcze. Staję po środku tarczy i mówię do chłopca z przeciwnej strony sali. Doskonale mnie słyszy, mimo że na sali jest hałas, przesuwają się dziesiątki zwiedzających. Pyta skąd jestem. „Z Polski? Moi rodzice też som „polskie". Tak w niezwykły sposób trafiłem na rodaka.

*

Stoję przed szafą zaopatrzoną w dwa głośniki i pokrętła. Naciskam guzik, z głośników płynie słowo „coffee" — „kawa". Kręcąc gałkami mogę zmienić intonację głosu na pytającą, twierdzącą, głos gruby, cienki. Nie do wiary, że maszyna może naśladować głos człowieka.

*

Na zakończenie zwiedzania muzeum w sali zdobywania przestrzeni kosmicznej wchodzę do naturalnej wielkości modelu kapsuły księżycowej, aby odbyć podróż w kosmos. Naciskam guzik, wśród huku startujących rakiet z głośnika płyną dyspozycje nadawane jakoby z ziemi, z ośrodka kontroli lotu. Na dwóch ekranach telewizorów (leci się we dwóch) ukazuje się księżyc, który zbliża się szybko, widać już kratery. Wtem huk rakiet hamujących, po prawej stronie wielki krater — czyżby krater Kopernika? Naciskam wszystkie możliwe guziczki, żeby przyhamować pęd rakiety. Mój towarzysz puszcza ster i zakrywa ze strachu oczy. Oj, nie nadaje się na kosmonautę! Manipulując dźwignią wybieram miejsce do lądowania. Po chwili jako pierwszy Polak ląduję na Księżycu i... szczęśliwy opuszczam muzeum.

H. J. CHMIELEWSKI

Chłopiec pedałujący na rowerze uruchamia prądnicę, wytworzony prąd zapala światła oznaczające szybkość pedałowania.

Oto główni dowódcy filmowej bitwy pod Jasną Górą. Reżyser Jerzy Hoffman i operator Jerzy Wójcik nie zważając na mróz, kręcą ujęcie za ujęciem. Wszak tyle jeszcze „Potopu" przed nimi.

SZWEDZI NA CZĘSTOCHO

C. d. ze str. 1

— Najpierw zaczynają strzelać kanonierki, potem dopiero włącza się pierwszy „Apostoł". Po trzecim odpaleniu rusza piechota w wąwozie... W tym czasie na stanowisku drugim (przy wozie z kulami) wybuch przewraca żołnierzy. Dwaj padają na miejscu, trzeci turla się po śniegu padając z nasypu wprost na kamerę! Wszystko jasne? Uwaga! Zaczynamy sytuacyjną próbę!...

Próba trwa 20—30 minut. Potem przeciąga się do godziny, półtorej. Stale coś nie jest tak, jak trzeba. A to spłonki nie rozmieszczono w odpowiednim miejscu, a to jedno z dział nie odpaliło, a to „ranny" nie zmieścił się w kadrze.

Wreszcie klaps! Reżyser krzyczy: Kamera!!!... Wstrzymujemy oddechy. Zamieramy w bezruchu. Poooszli!

Kanonierki walnęły tak niespodziewanie, że uskoczyłam ze strachu pod drzewo. Ale to jeszcze nic w porównaniu z hukiem „Apostoła". Działa brzmiały kolejno jedno po drugim. Dymy wybuchów zasnuły okolice. Proch armatni drażnił nozdrza. Patrzyłam z lękiem na toczącego się po śniegu „rannego". Tak sugestywnie odtwarzał swą rolę, przy tym niesamowita sceneria bitwy, kostium, „krew", jęki — sprawiały wrażenie, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Po chwili ucichły działa, a „ranny" wstał jakby nigdy nic i powiedział: „Zdaje się, że tym razem zmieściłem się w kadrze...

...„Kmicic stojąc na murach przy dziale naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Millera i skąd największy szedł ogień, odtrącił puszkarza i sam pracować zaczął. Brew miał namarszczoną, ogień w oczach i jakąś dziką radość w twarzy. Co chwila pochylał się na działo. Krzyczał: „Ognia!" A gdy Soroka przykładał lont, on biegł na zrąb, patrzył i wykrzykiwał: „Pokotem, pokotem"! Orle jego oczy przenikały przez dymy. Nagle po strzale podskoczył, wbił oczy w dal i zakrzyknął: „Działo rozbite. Tam teraz jeno trzy sztuki grają!"

Reżyser Hoffman szczególnie starannie opracowywał tę scenę. Długo debatował z kierownikiem ekipy pirotechników, panem Henrykiem Piotrowskim, w jaki sposób podłożyć pod działko materiał wybuchowy, by i efekt trafienia był imponujący, i nic nie zagrażało bezpieczeństwu statysty.

Wszyscy czekaliśmy niecierpliwie na ten moment. Działko stało na odsłoniętym szańcu. Przy nim czterech działowych. Mieli oni „zginąć" od celnego pocisku Kmicica, a armatka miała rozsypać się na części.

Pirotechnik zagrzebał w śniegu niedaleko od działka kilka spłonek. Armatka została „rozmontowana" i ustawiona tylko „na słowo honoru".

Na dany sygnał buchnął w niebo słup ognia i dymu. Armata rozwaliła się od jego podmuchu, a działowi padli na twardy śnieg. Jeszcze ten i ów rzucał się w ostatnich „konwulsjach", jeszcze do pierwszego podbiegła „szwedzka sanitariuszka", jeszcze rozsypane z kosza kule potoczyły się do moich stóp...

Gdy opadł dym i ochłonęłam nieco po tej błyskawicznej akcji, reżysera już nie było przy nas. Zobaczyłam go na drugim krańcu przedpola, jak ze scenografem od militariów, Jerzym Szeskim, ustalał kolejność następnego ujęcia...

Tak było w dzień pod murami klasztoru. Wieczorem wróciliśmy zziębnięci do hotelu. Zaczęły się nocne rodaków rozmowy.

Kierownik produkcji filmu, Wilhelm Hollender, ujawnił mi kilka tajemnic filmowego „Potopu":

— W filmie gra około 70 aktorów w rolach wiodących i około 500 w epizodach. W największych scenach masowych, jak zimowy pochód Szwedów, weźmie udział 4000 ludzi i 400 koni. W scenach bitewnych nad Pilicą wystąpi około 5000 ludzi i 700 koni. Te ogromne ujęcia nakręcimy na Białorusi i w okolicach Kijowa. Tylko ZSRR ma bowiem wspaniale wyszkolone konie, które nie płoszą się przy szumie skrzydeł husarii i przy huku dział. W okolicach Mińska mamy już zbudowane dekoracje zaścianków: Pacunele, Wołmontowice, oraz dworku w Lubiczu i Wodoktach. Adaptowaliśmy też do potrzeb filmu dwa autentyczne XVII-wieczne zamki, które „zagrają" w filmie: Taurogi i Kiejdany. Wnętrza tych zamków sfilmujemy na Wawelu w Salach Gobelinowych i Kurdybanowych.

Reżyser Jerzy Hoffman na pytanie, jak przyjął opinie sprzeciwiające się obsadzeniu Olbrychskiego w roli Kmicica, odpowiedział:

— Nie widzę w tej chwili innego aktora, autentycznie młodego i utalentowanego, a przy tym sprawnego fizycznie, który mógłby być lepszy od Daniela. Może znalazłbym podobnego wśród studentów, ale przecież Kmicica nie może odtwarzać debiutant. To rola o olbrzymiej randze i udźwignąć ją może tylko aktor o doskonale opanowanym rzemiośle.

Zarzuty, że Daniel grał w „Wołodyjowskim" Azję, więc nie powinien być już Kmicicem — są niepoważne. Moim zdaniem trzy postacie w „Trylogii" są w jakimś sensie podobne w swych reakcjach i charakterach. Są to: Bohun, Azja i Kmicic. I dalibóg uważam, że wszystkie te trzy role doskonale zagrałby Olbrychski.

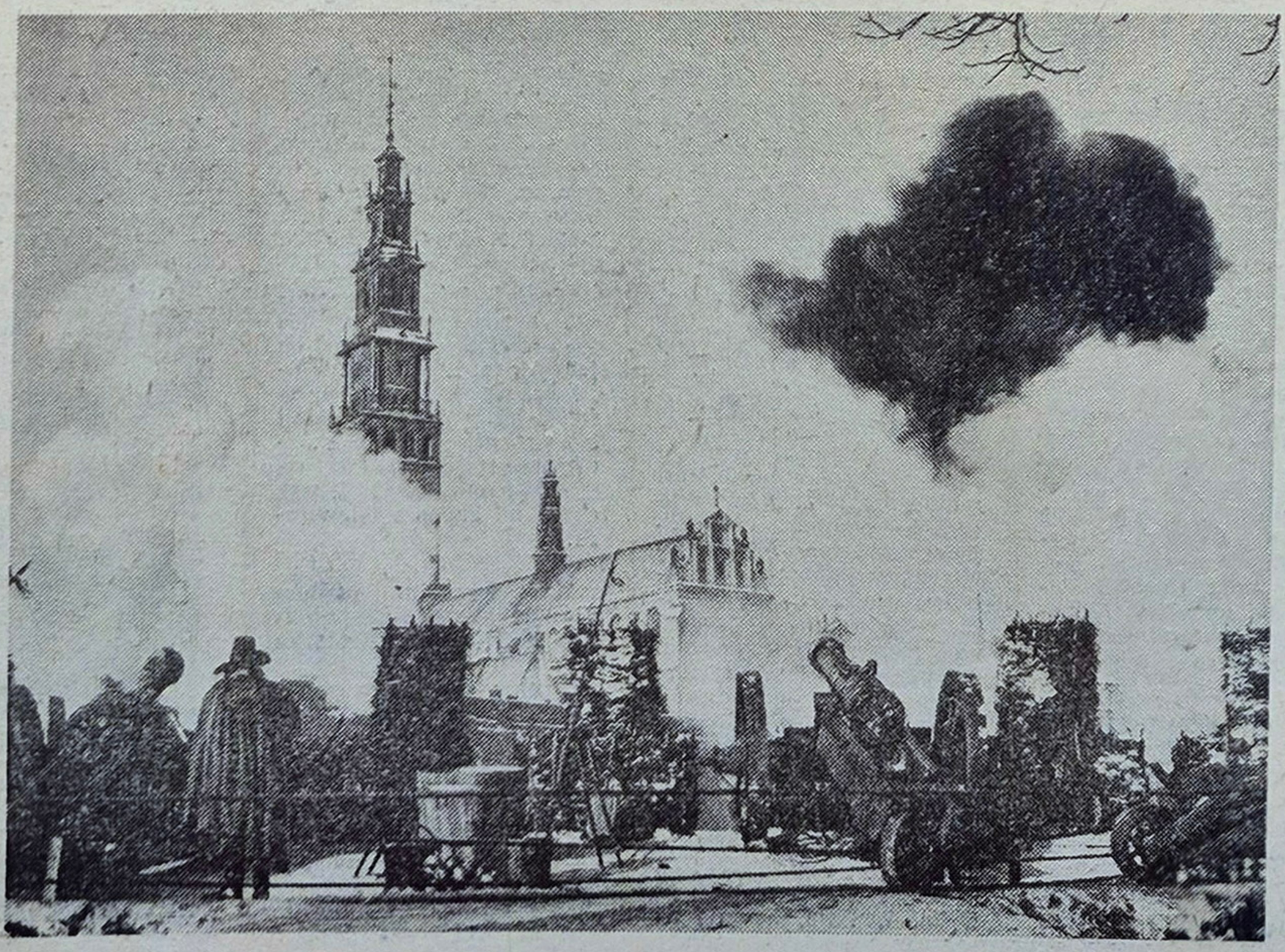

A to, że tak wspaniale potrafi się wcielić w każdą postać, świadczy chyba tylko na korzyść tego aktora.

Czy mam już Oleńkę? Tak. Znalazłem ją po wielu próbnych zdjęciach i poszukiwaniach. Jest to studentka I roku Szkoły Filmowej w Łodzi. Nazwisko jej podam dopiero wtedy, gdy nakręcę z nią pierwsze sceny w kostiumie i pełnej charakteryzacji.

Zagłobą, niestety, nie będzie Mieczysław Pawlikowski. Aktor ten przeszedł ciężką chorobę i lekarze zabronili mu intensywnych wysiłków, a jak wiadomo Zagłoba jest w „Potopie" szczególnie czynny. Kto będzie grał tę postać jeszcze nie wiem. Ciągle poszukuję...

Film „Potop" składać się będzie z czterech części: „Oleńka", „Zdrada", Przebudzenie" i „Zwycięstwo". Wyświetlane będą w dwóch 2,5-godzinnych seansach. W sumie 5 godzin na ekranie, a w rzeczywistości 5 lat pracy wyrwane z mojego życia.

Tekst:
ALICJA WIELGOŁAWSKA

Foto:
KAJETAN ADAMOWSKI

...OWĘ WALĄ

BAL W KIEJDANACH

„Żupan miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwiaździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec".

Tak w sienkiewiczowskiej wizji wyglądał Andrzej Kmicic, gdy pojawił się na balu u księcia Janusza Radziwiłła. A jak wyglądała Oleńka?

„Oboje przy tym jakgdyby się umówili, jednakowo byli ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik".

Kostiumy w „Potopie" to dzieło młodej plastyczki, Magdaleny Teslawskiej (asystentka w filmie „Pan Wołodyjowski").

W czasach „Potopu" panowała ogromna rozmaitość sposobów ubierania się. Była to epoka barwna i strojna. Tym większe więc pole do popisu dla kostiumologa.

— Największą sytysfakcję miałam oczywiście przy projektach kostiumowej oprawy balów dworskich — powiedziała pani Teslawska. — Te wszystkie brokaty, aksamity, tafty i atłasy. Te brosze, guzy, pasy i pierścienie... Musiałam wykonać dziesiątki tysięcy projektów. Mam nadzieję, że widzowie kinowi przyjmą te stroje z aplauzem, gdyż odpowiadają one wiernie tamtej epoce.

KASKADER SKACZE W PRZEPAŚĆ I TOPI SIĘ W RZECE

KRZYSZTOF FUS, nasz sławny kaskader filmowy, jest już całkowicie przygotowany do brawurowych scen czekających go w „Potopie".

— Co oprócz galopad konnych zademonstrujesz w filmie? — pytam kaskadera.

— W walkach na białą broń będę bił się na szable, rapiery, halabardy i czekany. W scenie ataku górali na oddział szwedzki podczas przejazdu króla Jana Kazimierza będę zlatywał w górską przepaść. W czasie jednej z bitew wypadnie mi „topić się" w rzece. No, a poza tym czeka mnie mnóstwo „wywrotek" z konia, z tym że postanowiłem ulepszyć te upadki. Koń nie będzie w galopie przewracał się na „wilczych dołach" tylko za poderwaniem niewidocznej pętli okręconej wokół nogi. A w ogóle „Potop" to wymarzona praca dla kaskaderów.

Korespondencja z ZSRR

W WYSOKICH GÓRACH AZERBEJDŻANU

NIEDAWNO przeżyłam cudowną przygodę. Zostałam zaproszona przez swych przyjaciół do Związku Radzieckiego. Byłam w trzech republikach: ukraińskiej, azerbejdżańskiej i uzbekistańskiej. Wszędzie, na każdym kroku spotykałam się z niezwykłą serdecznością.

Na zawsze pozostanie mi w pamięci pobyt w niewielkim miasteczku Susza — perle gór Azerbejdżanu. Nie ma chyba człowieka, który będąc w tej republice ominąłby właśnie to miasteczko zawieszone wysoko w wąwozach Karabachu. Słyszałam, że do Suszy jeżdżą ludzie z najodleglejszych części Związku Radzieckiego. Przebywał tu Lermontow, W. Wiereszczagin, Marietta Szaginian.

Miasto założono w 1752 roku. Tak jak i inne miasta Susza przeżywała oblężenia i wojny. Życie mieszkańców od lat utrudniał brak odpowiedniej wody do picia. Jeden ze starszych mieszkańców Suszy, 120-letni Safichaszlaz Babajew, nosił niegdyś wodę do domu z rzeki odległej o 4 km od miasta. Czasy się zmieniły, dziś wszyscy czerpią wodę z nowoczesnych wodociągów. Wybudowano piękne sanatoria, domy wypoczynkowe, szkoły dla dzieci. Wieczorem pod chmury wybuchają światła neonów. Wśród skał wznosi się na wysokości 2 tysięcy metrów wieża telewizyjna.

Suszę nazywają nie tylko kolebką ludzi odważnych, lecz także kolebką ludowych talentów. Tu właśnie tworzyli najsławniejsi w Azerbejdżanie poeci: Kasum-bek Zakir i Natawan oraz „ojciec" wspaniałych utworów tragicznych Nadżafbek Wiezirow. Miasto jest ojczyzną twórcy narodowej opery Gadżibiekowa. Sędziwi mieszkańcy twierdzą, że ich dzieci zaczynają wcześniej śpiewać... niż mówić.

Są na świecie miejsca szczególnie piękne, dla mnie jednym z nich jest właśnie Susza.

„MARIKA"

Od redakcji: Mariko! Czekamy na nową korespondencję. Przy okazji nie zapomnij podać swego adresu.

„Mowa" kur

DO CIEKAWYCH SPOSTRZEŻEŃ można dojść na drodze dłuższego obserwowania stada kur kręcących się po podwórku. Śmiało można powiedzieć, że posługują się one własnym „językiem" do wyrażania ostrzeżeń przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, dzielenia się wiadomością o odnalezionym pokarmie itp.

Skala dźwięków i tonów wydawanych przez kury jest bardzo bogata. Najciekawsza jest jednak szybkość, z jaką kurczęta uczą się tej mowy kurzej. Nieomal wykluwają się one ze znajomością pewnych dźwięków. Obserwacje pozwoliły m.in. stwierdzić, że hasłem ostrzegającym kurczęta przed niebezpieczeństwem jest dźwięk przypominający krakanie wrony. Dźwięk ten wydaje wodząca swoje potomstwo kura — na widok psa, kota lub jastrzębia. Dwudniowi malcy reagują już na to ostrzeżenie i chronią się pod opiekuńcze skrzydła swojej matki. (NBT — PAP). b.

PRZYGODY Z CYRKU FRI CO

8)

ANDRZEJ LACH
I MARIAN MANC
Rys. M. Majewski

BALDWIN WLAŁ WINO i spirytus do czystego wiaderka i cały ten kokteil zaniósł do stajni. Bimbo spróbował, po kilku łykach wstrząsnął głową, fuknął i cofnął się od wiaderka, wywijając trąbą na wszystkie strony. Jednak po chwili powtórnie zanurzył w nim trąbę. Powtarzało się to kilkakrotnie, a gdy

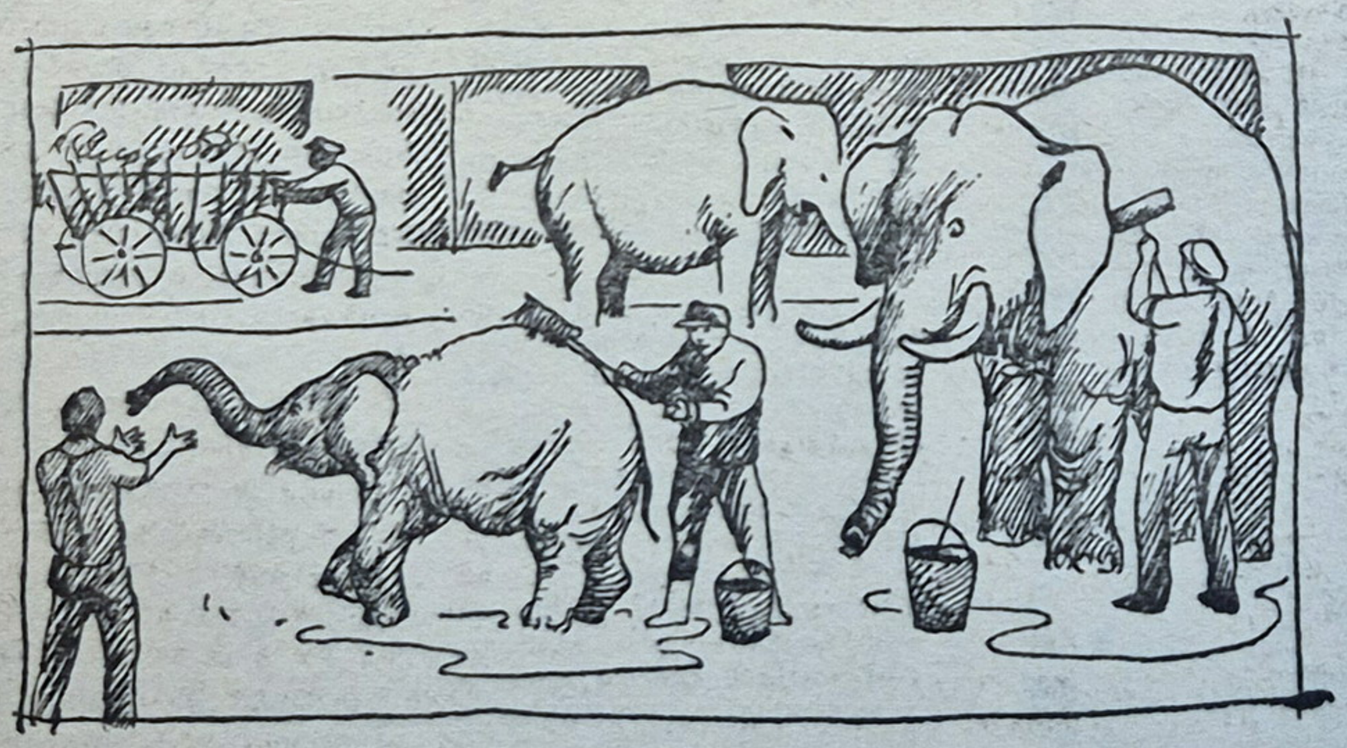

ukazało się dno, Bimbo zaryczał, jakby dopominał się o drugą porcję. Ale Baldwin zabrał wiaderko.

— Wystarczy, mój mały — roześmiał się, klepiąc słonika po głowie. — Nie dam ci więcej, bo zalejesz się i będziesz rozrabiał jak pijany zając!

Baldwin miał rację. Jedną porcja tego niecodziennego lekarstwa wystarczyła, by Bimbo stał się wesolutki i żywy. Tańczył w miejscu, machał nogami, wywijał trąbą poruszał uszami, bełkotał i ryczał śmiesznie. Wszystko to wywoływało wybuchy śmiechu u tych ciekawych, którzy asystowali przy kuracji, a ich śmiech zwabił innych. Wkrótce w stajni zebrał się maleńki tłum mieszkańców cyrku.

Po pewnym czasie ruchy słonia zaczęły stawać się coraz wolniejsze i coraz bardziej niezgrabne. Wtedy Baldwin usunął wszystkich ze stajni. Bimbo opuścił głowę, westchnął raz i drugi, położył się i zamknął oczy. Na to tylko czekał Baldwin. Brał siano całymi naręczami i przykrywał nim słonia. W pewnej chwili z siana wysunęła się trąba Bimbo, ale gdy Baldwin poklepał ją uspokajająco, zniknęła.

Baldwin spędził przy śpiącym słoniu całą noc, siedząc obok niego na sianie. Kilka razy Bimbo upewniał się o obecności przyjaciela, wysuwając trąbę spod siana, wreszcie zasnął na dobre. Późnym rankiem sterta siana uniosła się, Bimbo stanął na nogi, ściągnął z pleców trąbą garść siana i rozpoczął śniadanie. Po wypiciu wiadra wody, zjadł cały kosz bułek i pokaźną ilość jarzyn, po czym powrócił do jedzenia siana. Przez cały czas posiłku Baldwin nie oddalał się od niego nawet na krok. Poklepywał, gładził go po głowie i mówił, mówił bez przerwy, cicho pieszczotliwie. Bimbo słuchał go widocznie, gdyż nie spuszczał go z oczu i strzegł bez przerwy wielkimi uszami.

Po śniadaniu, gdy Baldwin zabierał dorosłe słonie na manież, Bimbo potraktował to jako rzecz naturalną i spokojnie poddał się wszelkim zabiegom, jakie wymyślili chłopcy, by słonik wyglądał uroczyście i okazale. Myli go od góry do dołu ryżowymi szczotkami, nacierali tranem oczodoły i dolne części kończyn. Bimbo był zadowolony. Bawił się w najlepsze i pomagał chłopcom, urządzając sam sobie prysznic przy pomocy trąby. W stajni było rojno i gwarno. Kto żyw, odwiedzał słonie i bawił się wyczynami chłopców. Edward, który podkpiwał z nich wraz z innymi, został za to srodze ukarany, bowiem Bimbo, nie wiadomo — niechcący czy naumyślnie — skierował na niego swą trąbę i zlał wodą od góry do dołu.

Na przedstawieniu premierowym widownia cyrku wypełniona była po brzegi publicznością. Dyrektor Migalski, który z niepokojem oczekiwał występu Baldwina, stropił się widząc go wychodzącego na manież w przebraniu „ryżego", na końcu kawalkady zwierząt ustawionych gęsiego i trzymających się trąbami za ogony. Baldwin kroczył jak słoń, trzymając się za ogon ostatniego w rzędzie zwierzęcia.

Już samo wyjście wywołało wybuch śmiechu. Dalej wszystko poszło gładko. Baldwin poruszał się po arenie jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. Był niezdarny, nieporadny, nic mu się nie udawało. Za to słonie robiły wszystko zręcznie i zwinnie. To zestawienie nieporadnego błazna z ogromnymi, zręcznymi i sprawnymi zwierzętami podobało się publiczności. Tresura odniosła niebywały dotąd sukces.

Podobnie wyglądała solówka Bimbo. „Ryży" i słonik bawili się na arenie jak małe dzieci, wywołując salwy śmiechu na widowni. Na zakończenie występu Bimbo zjadł bukiet kwiatów, wręczony mu przez Baldwina, o potem sprowadził z areny opierającego się klowna, trzymając go trąbą pod pachę.

Mijały dni. Baldwin mieszkał w wozie Francopollo. Na jego polecenie Bimbo chodził swobodnie po placu cyrkowym przez większość dnia. Z uporem usiłował dostać się do wozu Francopollo, przewracał stoliki w bufecie cyrkowym, wyjadał przez okno sałatkę z talerzy i płatał wiele innych, kłopotliwych figlów. Kłopoty te były jednak niczym w porównaniu z korzyściami. Widok słonia spacerującego po terenie cyrku był świetną reklamą i wzbudzał nieustającą sensację.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Francopollo miał opuścić szpital. W szpitalnym ogrodzie oczekiwali na niego dyrektor Migalski i klown Frico. Francopollo, chociaż codziennie otrzymywał relakcje z cyrku, natychmiast począł pytać o słonia i Baldwina.

— Nie bój się! — roześmiał się Frico. — Pamiętają o tobie!

Jakby na potwierdzenie jego słów zza kępy krzewów wysunął się Bimbo w towarzystwie Baldwina oraz Jacka i Wacka. Wracali do cyrku całą gromadką, wywołując na ulicach powszechne zainteresowanie.

Tego dnia Baldwin spakował swoje manatki i opuścił cyrk. Żegnał go Francopollo, Migalski, Frico i Edward. Oczywiście nie obeszło się bez obecności wścibskich chłopców.

— To były chyba najpiękniejsze dni w moim życiu — powiedział na pożegnanie Baldwin. — Znowu poczułem się potrzebny w cyrku.

Był wzruszony i smutny. Wiedział, że tym razem opuszcza cyrk na zawsze. Ale jego nastrój udzielił się tylko chłopcom. Migalski myślał już o innych sprawach, zaś Frico, Francopollo i Edward byli zadowoleni i uśmiechnięci. Baldwin poczuł się tym nieco dotknięty.

— Trzymaj się, stary! — żegnał go Frico. — Na pewno wkrótce znowu się zobaczymy!

Baldwin nie przypuszczał, żeby było to możliwe. Odszedł, nie oglądając się za siebie.

Wieczorem artyści szykowali się jak zwykle do występów, wnętrze namiotu huczało wypełnione widownią. Dyrektor Migalski, zadowolony ze szczęśliwego zakończenia całej historii ze słoniami, siedział na werandce swojego wozu z reporterem miejscowej gazety. Ich rozmowę o cyrku „Frico" przerwało nagłe wkroczenie Francopollo. Jego mina nie wróżyła nic dobrego, nic więc dziwnego, że dobry nastrój dyrektora prysł jak bańka mydlana.

— Panie dyrektorze — oświadczył krótko Francopollo. — Bimbo nie wystąpi.

Migalski nie wierzył własnym uszom. Nie wystąpi? Teraz, gdy powrócił jego treser? Jak to?

— On jest chory — wyjaśnił Francopollo.

— Znowu? — krzyknął dyrektor. — Co mu jest?

Dyrektor pobiegł do stajni, by przekonać się o prawdzie na własne oczy. Nie wiedział, że z ukrycia śledziły go oczy Frica i Edwarda, którzy dusili się od powstrzymywanego śmiechu. Za to Jacek i Wacek, stojący przy Bimbo, byli szczerze przejęci. Bimbo wyglądał tak, jak w dniu wypadku Francopollo. Dyrektor Migalski chwycił się za głowę.

— Co ja mam z tym słoniem! Co robić! — zawołał zrozpaczony.

— Chyba trzeba będzie wezwać Baldwina — podpowiedział z niewinną miną Frico, który wszedł właśnie do stajni razem z Edwardem.

— No i co z tego? A co będzie, gdy wyjedziemy do innego miasta? — pytał z rozpaczą Migalski.

Nic nie poradzę, Bimbo tęskni — odparł Francopollo i zrobił „oko" do Frico. — Najlepiej, gdyby Baldwin pojechał z nami — dodał.

— Poszukajcie go! Znajdźcie mi go natychmiast! — denerwował się dyrektor. — Zaangażuję go na stałe! Biorę to na siebie! Załatwię z dyrekcją!

— Niech pan mu to sam powie — doradził Frico, podając kartkę papieru. — Oto jego telefon.

Wieczorem Bimbo wystąpił w programie razem z Baldwinem. Po zakończeniu numeru „ryży" Baldwin stał na arenie bez ruchu, słuchając gorących braw. Uśmiechał się do publiczności, a po jego policzkach spływały łzy.

C.D.N.

ANTONI ŻUKOWSKI

NAZWISKO Antoniego Żukowskiego pojawiało się w naszej gazecie bardzo rzadko, mimo że z godną podziwu systematycznością i skrupulatnością przez 16 lat dostarczał Wam co tydzień krzyżówek, konikówek, rozetek, labiryntów, konkursów i wielu innych rozrywek umysłowych, rozdzielał nagrody i dbał o ich wysyłanie. Pracował niemal anonimowo. Żartobliwie nazywaliśmy Go Antosiem.

Gdyby wszystkie Jego prace wydać jednorazowo — powstałby ponad 1000-stronicowy tom, którego przeczytanie i wykorzystanie zajęłoby Wam co najmniej dwie godziny tygodniowo przez 16 lat.

Ten skromny i pogodny nauczyciel po odejściu ze szkolnictwa nie mógł się rozstać z młodzieżą, trafił więc do nas, żeby uczyć, wychowywać i... bawić przynajmniej poprzez gazetę, a może właśnie przez gazetę, bo jego „klasa" liczyła tu ponad milion uczniów i... studentów.

Kiedy listy z rozwiązaniami napływały tysiącami, nie posiadał się z radości, ale kiedy do rozrywki wkradł się nawet mały błąd, cierpiał niemal fizycznie. Pracował ofiarnie do ostatnich dni życia. Nie ma Go już wśród nas, ale prace jego będą się jeszcze ukazywały, pracował bowiem nawet w czasie choroby.

Zmarł na serce 22 stycznia 1972 roku w wieku 67 lat. Było to serce wielkie i szlachetne, życzliwe dla czytelników i kolegów.

Będzie Go nam brak. Mimo wielkiego smutku, w jakim nas zostawił, zachowamy o Nim wspomnienie bardzo pogodne.

Cześć Jego pamięci.

CZARNY marszałek

Tekst. TIBOR
G. S. HORVATH
Tłum.: E. KŁOSIEWICZ
Rys. ERNO ZORÁD

24

116. „Ta twierdza nazywa się Jeux, służy w niej pewien mój dobry kumpel, Duval. Proszę zwrócić się do niego, panie podporuczniku. Jest prawą ręką komendanta, może wszystko załatwić". Śladem tej informacji, kupionej za wysoką cenę od strażnika, Vincent ruszył w drogę.

117. „Z przeznaczonego na to tysiąca złotych dukatów dostaniesz teraz czwartą część, resztę — gdy niewolnik ten znajdzie się w bezpiecznym miejscu". Duval martwi się: „A jeśli nie będzie chciał iść z panem?" Vincent uspokaja go: „Jeżeli tak będzie, dostanie je pan, Duval, daję słowo".

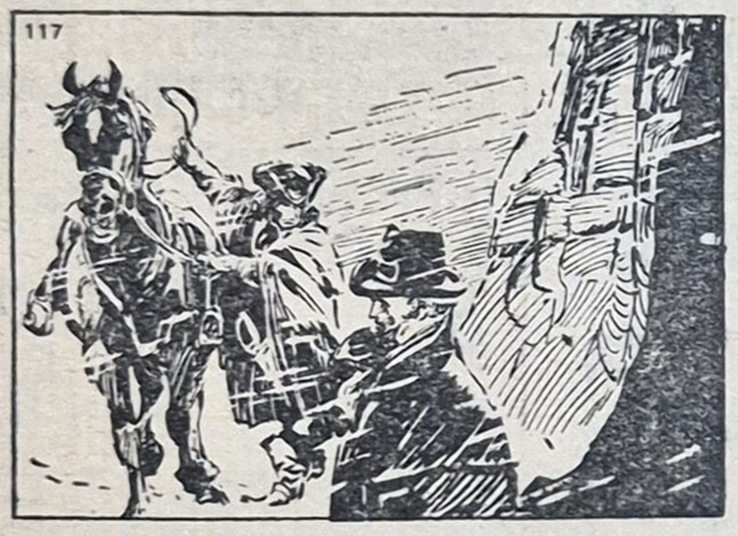

118. Żeliwna brama, ciężkie kłódki... korytarze... znowu brama... W samej głębi kazamatów Vincent znajduje tego, kogo szuka. „Teraz rozumiem dlaczego strażnik niepokoił się o swoje pieniądze". Toussaint nie ma wcale sił, oczy błyszczą mu od gorączki. Podporucznik zadrżał: „Gruźlica! Kończy się!"

119. „Dziękuję, że pan przyszedł... Niech pan mówi..." — szepce więzień. „Już nie ma francuskich wojsk na Saint Domingue. Nieliczne pozostałości armii wieziono niedawno z powrotem. Ale i oni nie wrócili do domu. Wszyscy zostali uwięzieni przez angielską flotę".

120. „A więc... chwała losowi, że... tego dożyłem... Obcych ciemiężców spotkał zasłużony los... Haiti jest wolna... Wolna...!" Głos Toussainta zamilkł, głowa opadła, na ustach pojawił się uśmiech szczęścia. Vincent skłonił głowę przed umarłym. „Tak! wolna! Ty uczyniłeś ją wolną!".

Koniec

Tak postępują harcerze

POMOCNA DŁOŃ

DO REDAKCJI przyszedł list: **„Mówi się, że obecnie znieczulica jest plagą społeczną. Jednak drużyna harcerska z mojej wsi podała mi swoją pomocną dłoń. W czasie pobytu mojego męża w szpitalu harcerze pracowali w naszym gospodarstwie. Chciałabym, aby list, który napisałam znalazł się w gazecie harcerskiej. Niech fakty te będą przykładem dla innych.**

Irena Rusinek, Wypaleniska, poczta Solec Kujawski, pow. Bydgoszcz".

Uznaliśmy, że postawa druhów z Wypalenisk zasługuje nie tylko na wydrukowanie o nich listu. Wybraliśmy się także z wizytą do harcerzy, aby o ich działalności dowiedzieć się nieco więcej.

Oto jak wygląda ich opowieść o początku i trwaniu akcji niesienia pomocy ludziom, którzy jej potrzebują.

Bieg patrolowy

NARADA odbyła się w lesie i trwała krótko: Jurek Prusakowski mieszka tuż, tuż. Aż do samego podwórka podejdą „kocim krokiem" i dopiero tam okrzykami ujawnią swoje przybycie.

Oto płot. Dom. Cisza. I nagle...

— Hop, hop! Jurek, hop, hop! — nawoływania stają się coraz głośniejsze.

Jurek, który od paru dni leżał chory, zerwał się z łóżka i podbiegł do okna. Na podwórku ujrzał całą drużynę.

— Mamy bieg patrolowy. Żeby ci nie było smutno, żebyś choć przez chwilę był z nami — jesteśmy. Pewnie trzeba pomóc w tym lub owym, no nie?!

— Jestem sam, bo mama poszła do sklepu, a tata w pracy, w Betoniarni....

— Doskonała okazja! Bierzemy się do roboty!

Narąbali drewna, przynieśli wodę ze studni, napoili krowę, sami się napili.

Później o tym wydarzeniu Jurek opowiadał w szkole. Opowiadali jego rodzice. O drużynie zrobiło się głośno w całej wsi. Wszystkim się to podobało i nasunęło harcerzom pomysł, że tamta wizyta złożona Jurkowi może stać się początkiem akcji niesienia ludziom pomocy.

Akcja „Ziemniak"

KIEDYŚ jesienią ojciec jednego z kolegów, 13-letniego Zbyszka Rusinka i jego dwóch młodszych sióstr Zosi i Eli, uległ w drodze do pracy ciężkiemu wypadkowi. Orzeczenie lekarskie brzmiało: powikłane złamanie ręki i nogi. Mama całe dnie spędza u ojca, w szpitalu... Tymczasem na polu pozostały nie wykopane ziemniaki.

Drużynowy, pwd. Adam Brzozowski podjął natychmiastową decyzję:

— Dla całej drużyny ogłaszam nadzwyczajną akcję: „Ziemniaki dla pani Rusinek". Dowództwo nad roboczą brygadą objął „gospodarz", Zbyszek Rusinek.

Słońce chowało się już za horyzont, gdy na polu stanęło 10 worków ziemniaków wykopanych przez harcerzy. Potem na rowerach zwieźli je do domu i wnieśli do piwnicy. Utrudzeni i brudni, żegnali się ze Zbyszkiem i jego siostrami, gdy na podwórko weszła pani Rusinek. Szybko spostrzegła, co się święci. Była wzruszona. Bardzo chciała, aby harcerze zostali na podwieczorek. Ulegli o tyle, że każdy zabrał porcję śliwek na drogę, i dodatkową, dla Janusza Górnego, który wcześniej musiał odejść z pola.

Z sercem

PÓŹNIEJ, gdy nadeszły pierwsze mrozy, specjalne patrole przeprowadziły we wsi zwiad. Okazało się, że w Wypaleniskach są ludzie, którzy bardzo tej pomocy potrzebują.

Np. pani Bronisława W., samotna starsza osoba, która mieszka w budynku pozbawionym światła elektrycznego. Starość umilają jej tylko pies i kot. Starowinka hoduje sobie także trochę drobiu — zawsze to coś daje, a zajęcie przy świerzętach stwarza pewność, że jeszcze się jest gospodynią.

Opowiada druhna Aurelka Bąkowska:

— Pompa przy studni, z której pani Bronisława pompuje wodę, bardzo ciężko pracuje. A w dodatku zanim zacznie płynąć woda zdatna do użytku, trzeba wylać sześć wiader wody zanieczyszczonej. Teraz, zimą, gdy studnia jest oblodzona, taki ciężki wysiłek fizyczny jest ponad siły staruszki. Uciążliwe jest także noszenie węgla. Dlatego ją w tym wyręczamy.

*

Zresztą nie tylko pani Bronisławie pomagają przetrwać ciężką porę roku. Na ich pomoc może liczyć każdy. I duzi i mali. Wszyscy mieszkańcy wsi, wśród których np. szczekające czworonogi zawdzięczają im ciepłe i szczelne budy.

No cóż, popularni się stali harcerze w całej wsi, nie ma mowy! Ale na pewno zasłużenie.

BARBARA SKÓRSKA

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA I SPORTOWA", RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.30, kwartalna zł 13.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", W-wa, ul. Towarowa 28, do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezmówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039. Zam. 148 A-57

Spróbuj Rozwiązać

KRZYŻÓWKA

Poziomo: 1 — zagadka w formie rysunków i liter; 4 — miasto wojewódzkie w Polsce; 8 — szczyt w Tatrach i Karpatach; 9 — obchodzi imieniny 9 lutego; 10 — alkaloid znajdujący się w liściach herbaty; 11 — piękny wiosenny kwiat; 12 — bezład, chaos, zamęt; 14 — przywidzenie, złudzenie i widziadło; 17 — rzeka w Syberii; 18 — rzeka w Azji Wschodniej (stanowi granice między ZSRR a Chinami); 19 — szósty dźwięk gamy C-dur; 20 — miara powierzchni gruntu; 23 — w epoce feudalnej jeden z bezpośrednich wasalów panującego, tytuł szlachecki; 24 — styczność, łączność, związek; 25 — wodospad górski; 26 — pierwiastek chemiczny (gaz) używany do wypełnienia żarówek elektrycznych.

Pionowo: 1 — dawniej granica miasta u wylotu głównych ulic, budynek oznaczający tę granicę; 2 — roślina o listkach zimotrwałych i błękitnych kwiatach; 3 — okrycie podbite futrem (dawna nazwa); 4 — zapał, chęć, gorliwość, dzielnica Warszawy; 5 — wyspa na Morzu Śródziemnym; 6 — niemiłe, trudne przygody, kłopoty; 7 — syntetyczne trwałe włókno, tworzywo termoplastyczne; 13 — republika ZSRR w południowej części Zakaukazia (stolica Erewań); 15 — równina we wschodniej Attyce, najdłuższy bieg w konkurencji olimpijskiej; 16 — zderzenie się pojazdów, wypadek; 17 — nazwa polskiego międzynarodowego biura podróży; 19 — może być prosta, przerywana, zygzakowata, przyrząd w kształcie listwy do mierzenia, wykreślania; 21 — uszkodzony, zatopiony statek; 22 — miejsce wymiany towarowej w określone dni tygodnia, skupisko sprzedających i kupujących.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

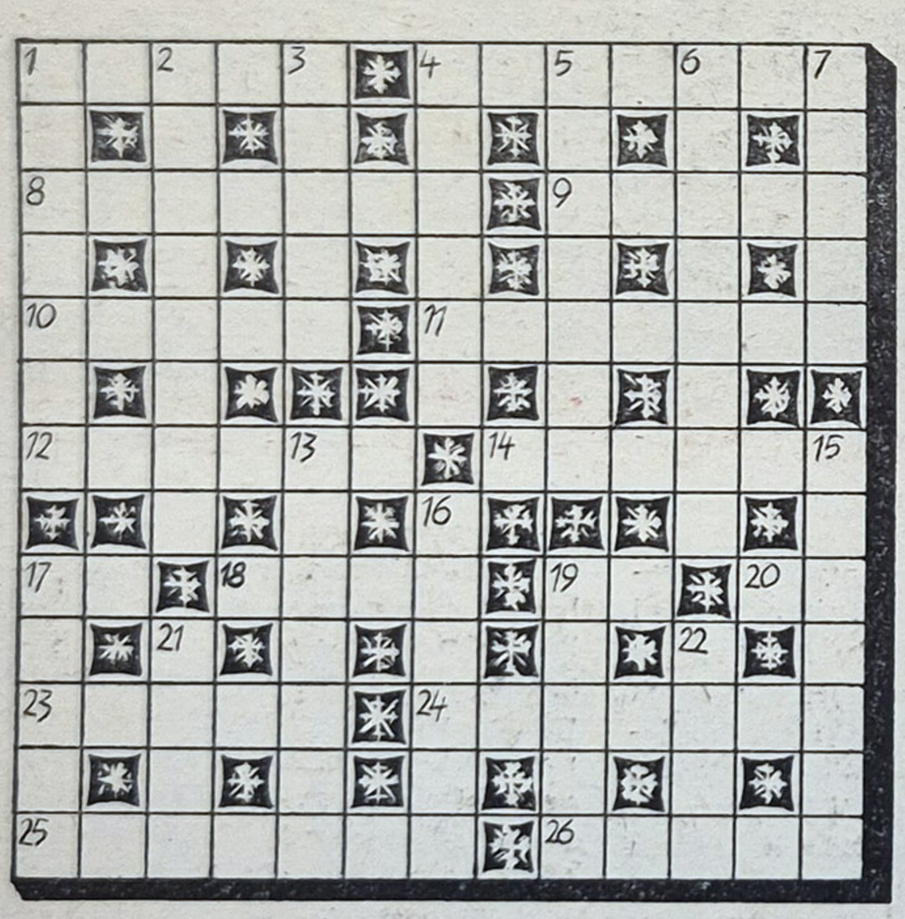

ROZWIĄZANIE ZIMOWEGO KONKURSU PZU Z NUMERU 103/4 Z DN. 24–28.XII.1971 R.

PAMIĘTAJ ZAWSZE O ZASADACH BEZPIECZEŃSTWA

Na konkurs wpłynęło 68 504 odpowiedzi. Cieszymy się, że konkurs znalazł tak masowe uznanie wśród naszych czytelników. Zwycięzcom konkursu składamy serdeczne gratulacje.

Nagrody zakupione z Funduszu Prewencyjnego PZU w Warszawie wylosowali:

ROWERY: **Jadwiga Marchel** — Trymiaczki; **Jerzy Proksa** — Babica 2.

RADIOODBIORNIKI TRANZYSTOROWE: **Barbara Adamczak** — Szczecin; **Wiesław Cymerman** — Stare Pole.

PIŁKI DO SIATKÓWKI: **Teresa Fularz** — Wałbrzych; **Grażyna Gutkowska** — Gryfino; **Katarzyna Jakubowska** — Chojnice; **Stanisław Niedźwiedzki** — Tomaszów Lub.; **Włodzimierz Olender** — Legnica; **Czesław Wandalski** — Boboszów 29.

ZEGARKI NA RĘKĘ: **Janina Mazurek** — Lidzbark Welski; **Danuta Rajwa** — Pszczyna; **Zdzisław Masiak** — Bielawa 67; **Marian Stanek** — Michałów.

BUDZIKI: **Aurelia Misiek** — Wysocko Małe; **Zbigniew Młotkiewicz** — Turek.

KOMPLETY NARZĘDZI DO MAJSTERKOWANIA: **Leszek Brzumowski** — Proboszczów; **Ireneusz Jachnowicz** — Olsztyn; **Dariusz Kupiński** — Siedlce; **Jerzy Skoczylas** — Dąbów; **Andrzej Sumikowski** — Stanowek.

BONY KSIĄŻKOWE: **Kornelia Ciopcia** — Racibórz; **Joanna Kukawka** — Brańszczyk; **Olga Mosur** — Krzeszowice; **Jolanta Muszyńska** — Warszawa; **Jolanta Nowakowska** — Olkusz; **Ewa Zańko** — Opole; **Bogusław Andrejczuk** — Jawor; **Marek Janocha** — Ruda Śl.; **Bogdan Świątnicki** — Łódź; **Marek Wardziński** — Władysławów.

Nagrody wysyłamy pocztą.

Salem Alejkum!

Mój przyjaciel Krasnoludek wyśmiał mnie, gdy zapytałem go w imieniu Małgosi Władymirskiej, która w liście zapytuje czy lalki rozmawiają między sobą. Jasne! — powiedział Krasnoludek — bywam nawet u jednej uroczej lalki w sklepie Nr 501 MHD — zabawki. Gramy w domino, bierki a czasem Elwira (tak nazywa się lalka) recytuje wiersze. (Koniec cytatu). Tak powiedział Krasnoludek i to zupełnie wystarcza, bym mógł autorytatywnie stwierdzić:

LALKI ROZMAWIAJĄ!

Krysia Leśnik w swoim długachnym liście zajmuje się naukowo sprawą Bezpieczeństwa i Higieny Śmiechu. Oto fragmenty: „Należy się śmiać wdzięcznie, a nie ryczeć, rechotać, krztusić się i rzęzić. W żadnym wypadku nie wolno pękać ze śmiechu w ciasnym pomieszczeniu. Grozi to rozsadzeniem ścian budynku. Śmiech zdrowy i przyzwoity to właśnie taki śmiech jaki występuje u przeciętnego czytelnika „Świata Młodych" po przeczytaniu RZEPA.

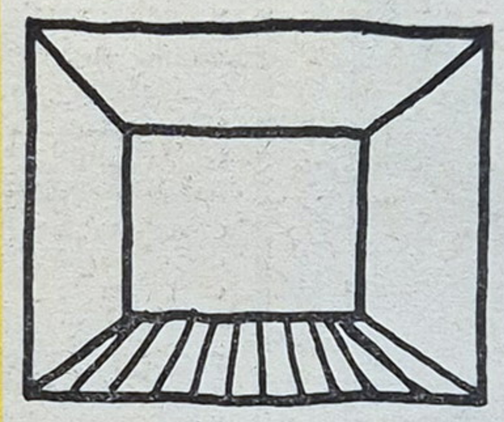

Co to jest? Nie, to nie żadna zagadka! Zdradzę Wam tajemnicę, bo sami nie zgadniecie na pewno. Jest to nasz pokój redakcyjny. Pusto to i nieprzytulnie, prawda? Właśnie, i w związku z tym mam do Was prośbę:

POMÓŻCIE OZDOBIĆ REDAKCJĘ „ŚWIATA MŁODYCH"

Ściany mamy wielkie, białe, pięknie odnowione. Aż się proszą o Wasze malowidła. Otóż to, nie rysunki, a malowidła i nie małe jak znaczki pocztowe, ale i duże, jak największe!

A teraz zdradzę Wam tajemnicę do końca:

ogłaszam uroczyście

WIELKI KONKURS POD TYTUŁEM

*

MALOWIDŁO DLA „ŚWIATA MŁODYCH"

*

Z NAGRODAMI! Z WYSTAWĄ! Z WIELKĄ POMPĄ

NAJLEPSZE malowidła zawisną po wieczne czasy na ścianach redakcji Waszego pisma. Wybierać będą artyści plastycy.

☆

JAK MALOWAĆ? Na brystolu plakatówkami, farbami własnej roboty z proszków, akwarelami, czym kto chce. Mogą to być również wylepianki z kolorowych papierków. Kolorowe, wesołe, pomysłowe. Plakaty też mogą być.

JAK WYSYŁAĆ? Pocztą, dobrze zapakowane w papier, włożone w twarde okładki np. w blok rysunkowy, słowem tak, żeby się nie zniszczyły. Nie składać, nie zwijać.

DO KIEDY? Czasu jest dużo. Rozstrzygnięcie konkursu ogłoszę 21 kwietnia. Przez cały czas będę Wam przypominał o konkursie. Już dziś opróżniam wielką szafę na Wasze rysunki i przybijam na jej drzwiach napis KONKURS RZEPA. Radzę Wam nie śpieszyć się, dobrze obmyśleć wszystko zaopatrzyć się w farby, pędzel i do roboty!

Życzę sukcesów artystycznych!

RZEP

Rys. W. Lewiński

WYSZPERANE DLA RZEPA

— Jak nie będziesz jadł grzecznie kolacji to za karę obejrzysz sobie dzisiaj „Supełki-węzełki".

Nadesłał Marek Czarnecki z Torunia

— To jest, proszę wycieczki, czaszka Woltera...

— A ta mniejsza obok?

— Jest to również czaszka Woltera ale z lat dziecięcych.

Wyszperał „Warszawiak"

—Ile kosztuje kurs do rynku?

— Cztery pensy, jedziemy?

— Nie, chciałem się tylko dowiedzieć, ile zaoszczędzę idąc piechotą.

Wyszperał Waldek Sikora z Piszu

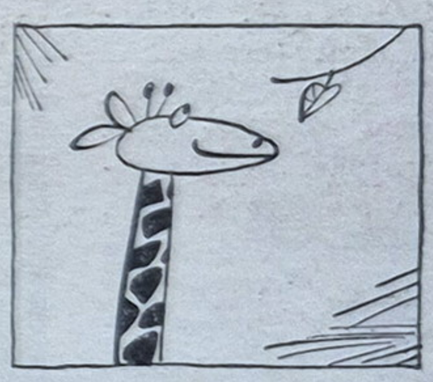

— Jasiu, powiedz mi, dlaczego żyrafa ma taką długę szyję?

— Żeby mogła dostać do liści wysokich drzew.

— No, a te liście, czemu rosną tak wysoko?

— A to dlatego, panie profesorze, żeby żyrafa nie musiała się schylać.

Wyszperała Danka z Piszczaca

DZIAŁ REDAGUJE WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI